

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

8 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Uważaj, dziewczyno! — zawołał, sycząc z gniewu — broń może wypalić!

— I wypali z pewnością, jeśli się pan raz jeszcze odważysz dotknąć mnie! — wyrzekła ostatkiem sił Erna.

— Oddaj mi broń! Oddaj mi broń, kobieto!

— Nigdy! Kulę w łeb pan dostaniesz, jeśli się ku mnie na krok jeszcze zbliżysz!

Kłown zmierzył ją wściekłym, od żądy płoną-cym wzrokiem. Widząc ją bowiem tak stanowczą, z błyszczeniem od gniewu oczyma, musiał jej jeszcze bardziej pożądać.

— Muszę cię posiąść! — syknął. — Powrócę tu za godzinę. Zastanów się zatem, kobieto, pro-szę cię, zastanów się dobrze, co masz robić, bo inaczej, do kroćset dyabłów, spełnię moje polecenie i zamorduję cię z zimną krwią!

Wyglądał straszliwie, tak, że się go można było bać. Erna jednak zebrała ostatek sił i odparła stanowczo:

— Raczej śmierć, niż hańba w ramionach łotra!

Rzucił jej w odpowiedzi ordynarne przekleń-stwo.

— Zaczekaj! — groził — za godzinę będziesz już mówić inaczej!

Potem wziął lampę, zatrzasnął gniewnie drzwi, zamknął je i zbiegł wściekły po drewnianych schodach.

ROZDZIAŁ XIV.

W poświatli księżycy.

— Otworzyłeś też zasuwę od rzeki, Robercie, żeby trupa tego szpicla woda wyniosła? — zapy-tała syna stara Wildingowa, kiedy oboje szli na górę.

— Wiesz o tem, matko, że połowicznie nicze-go nie robię — odparł jakiś męski, a niezwykle miękki głos — ale naraz mężczyzna urwał i sta-nął, nasłuchując na ciemnych schodach.

— Robercie! — Robercie! — Robercie! — Je-stem tutaj! Pójdź! Ratuj mnie! — brzmiał jakiś rozpaczliwy jęk po całym domu.

— Któż to jest? — zapytał ostro.

— Ach, nic nadzwyczajnego. Chodź na górę. Jeden z moich znajomych zamknął w piwnicy swoją kochankę. Zapłaci on mi dobrze za moje milczenie.

— Tak — odparł syn spokojnie — no, no, tylko uważaj, żeby cię nie złapali, kuplerstwo bo-wiem karzą strasznie ostro!

Doszli wreszcie na górę do pokoju, zajmowa-nego przez Wildingową, która zaraz za sobą drzwi zamknęła.

— No, ten pies obrzydły, ten szpicel — za-częła stara — jest już nieszkodliwy. Już on ni-kogo nie wsadzi do kryminału. Teraz, mój chłop-cze, teraz możesz odemnie żądać, czego chcesz — i zmierzyla badawczym spojrzeniem swego rośłego syna.

— Wyglądasz elegancko — ciągnęła dalej — akurat jak jaki hrabia albo książę. Musi ci się nie źle powodzić. Ale gdzieżes to tak długo się ukrywał? Miałam porządnego stracha, kiedym dzi-siaj rano otrzymała twój list. Jakżeż się ma twoja żona, córka pastora?

— Otóż to właśnie, matko — odparł Robert — uwolniłem się wreszcie od tej baby. Zawadzała mi poprostu, jak kula u nogi, w moim dążeniu do szczęścia.

Stara skinęła głową.

— Mówiłam ci to już dawno, że to nie dla ciebie żona. Tyś skończył szkoły, jesteś inżynier-em, mogłeś się być bogato ożenić.

— Na rany Boskie, nie róbcie mi wyrzutów — wybuchnął syn — nie po to do ciebie przyszedłem. Chciałem, byś mi pomogła, żebym się od Małgo-rzaty zupełnie uwolnił. Bo ona wisi wciąż przy mnie i może mi zepsuć całą świetną przyszłość, jaka mi się uśmiecha.

— Łatwo to powiedzieć — wtrąciła matka — dobrowolnie ona cię nie opuści.

— No, jeżeli nie chce. to — musi! — krzyk-nął Robert, i spojrzał na nią wiele mówiącym wzrokiem.

Stara wzrok ten zrozumiała, bo skinęła głową.

— Tak; ale gdzież ona właściwie jest?

— Przyjął ją razem z dzieckiem niejaki dok-tór Stürmer, który z pewnością chce ją studyo-

wać, boć, jak wiesz, Małgorzata jest lunatyczką. Ba, ale w tem właśnie sęk. W jasnowidzeniu, ja-kiemu nieraz ulega, może się wygadać z rzeczami, które mi mogą w piekielny sposób zaszkodzić.

— Wychodzi ona jeszcze ciągle na dach do księżycy?

Syn wpatrzył się na chwilę w zwiędłą, brzyd-ką twarz swojej matki, jakby mu nagle jakaś myśl przysłała do głowy.

— Matko! — rzekł nagle, a blade jego obli-cze pokryło się rumieńcem — na wędrówkach Małgorzaty do księżycy da się coś obmyśleć. Wiesz, o czem mówię?

Stara wiedźma potrząsała siwą głową.

— Słyszałaś pewnie, że lunatyczki chodzą po najbardziej stromych dachach, a nawet po gzym-sach, jakby po równym bruku?

— To wiem, jeno nie można na nich wołać, bo zaraz spadają — odparła stara Wildingowa i wpatrzyła się w twarz syna, okoloną złym, dzi-wnie złym uśmiechem.

— Jeszcze nie wiesz, o czem myślę? — zapy-tał Robert, a widząc, że matka patrzy nań ciągle, nie rozumiejąc go, schylił się i zaczął jej coś szeptać do ucha, tak, że tylko ona słyszeć go mogła.

Oczy starej nabrały błysku.

— Juści masz rację — odparła również szeptem — jest to jedyny sposób usunięcia jej z twojej dro-gi. Potem ci już nie będzie mogła szkodzić, a je-śli ją kiedy znajdą nieżywą na ulicy, to się prze-cie nas czepiać nie będą; bo skądże my mamy wiedzieć, po co ona w nocy chodzi po dachach.

— Dobrześ mnie zrozumiała? — zapytał syn raz jeszcze — dzisiaj właśnie jest noc księżycowa, możesz więc dzisiaj odrazu przejść się i zo-baczyć, czy na dachu domu doktora Stürmera nie ujrzyś jakiej białej postaci. Ale ja już muszę odejść, matko; spiszę się dobrze, a dam ci ładną paczkę niebieskich banknotów w nagrodę!

— Nie bój się, już ja się dobrze sprawie, bądź przekonany! Ale, ale; gdzież ty właściwie mieszkasz? Bo chciałabym ci zaraz donieść na wypadek, gdyby mi się odrazu tej nocy poszczęściło.

— O tem potem; do mnie nie potrzebujesz chodzić — odparł żywo syn — ja tu sam przyjdę jutro rano, a zresztą, gdybym nawet nie przyszedł, to przeczytałbym o tem wieczór w „Localanzei-gerze“, bo przecież to będzie sensacyjny wypadek i gazeciarze skwapliwie z niego skorzystają.

Rozśmiał się jakimś suchym, bezdźwięcznym śmiechem, ale wkrótce potem westchnął i rzekł cicho:

— Gdyby to tylko już było gotowe, to szczę-ściu memu nic na drodze nie stoi.

Zdjął ze ściany swoje wspaniałe sobolowe fu-tro, włożył je na siebie i pożegnał się z matką, raz jeszcze gorąco jej przypominając, co ma zrobić.

Pozostawmy łotrowską parę, dybiącą na życie zdradzonej i nieszcześliwej kobiety.

Małgorzata Wilding siedziała tego dnia wraz z synem w miłym pokoiku w mieszkaniu Stürmerów. Doktor wyjechał do swoich pacjentów i po-ruczył ją szczególniejszej opiece matki, biedaczka miała więc razem z dzieckiem wszystko, czego tylko pragnąć można.

Od owego wieczora, kiedy to przepowiedziała uprowadzenie młodej hrabiny, nie zapadła już wię-cej w stan jasnowidzenia. Kiedy jej zaś mówiono, że przepowiedziała prawdę, potrząsała głową, nie rozumiejąc, o czem mówią.

— Nie wiem o niczem! — rzekła zdziwiona.

Starej pani Stürmer, matce doktora, opowie-działa swą dolę nieszczęsną i tak ją wzruszyła, że pocziwina ofiarowała jej swój dom na stałe mieszkanie.

— Może pani u mnie pozostać! — mówiła do niej Stürmerowa — razem z dzieckiem. Tak tego boba polubiłam, że przykroby mi było, gdybym go straciła. Widzi pani, ja także niegdyś miałam có-reczkę; umarło mi biedactwo na tyfus. Na imię jej było Małgosia i gdyby była żyła, to byłaby w tym-samym dzisiaj wieku, co pani. Tak, moja pani Wilding; kiedy tu pani naprzeciw mnie siedzi, to zawsze myślę sobie o tem, że tak musiałaby wy-glądać moja Małgosia, którą w trzeciej wiosnie życia musiałam już pochować.

Spojrzała swemi staremi, pocziwemi oczyma, które się łzami zrosiły, na panią Wilding i odło-żywszy pończochę, aby sobie oczy oetrzeć, cią-gnęła dalej głosem, tamowanym przez łzy:

Widzi pani, wtedy i ja skarżyłam się na Pa-na Boga. Załamywałam ręce z bólu za tem nie-winnem stworzeniem, płakałam gorzkimi łzami,

ale to nic nie pomogło. Bóg chciał inaczej. A kie-dy potem moją Małgosię kładziono do trumienki, zdawało mi się, że i mnie muszą pogrzebać. Co ja się wtedy napłakałam, rozchorowałam się z tego i byłabym może na życie własne się targnęła, gdy-by nie stara Hanna, ówczesna nasza służąca, któ-ra mi wtedy przyniosła mego Adolfa — siedm lat miał już chłopczyzna. Pocziwina Hanna rzekła do mnie:

— Niechno się pani popatrzy na malca, jak biedaczysko zmizerniał, bo się mama o niego nie troszczy. Calutki dzień siedział chłopczyzna w śnie-gu na grobie Małgosi; moja pani, jak pani tak da-lej płakać będzie, to pani wnet synka obok córki pogrzebie.

Słowa te odniosły skutek. Opanowałam się i oddałam wyłacznie synowi, którego teraz pod-wójnie kochałam. Ale zupełnie o tem zapomnieć nie mogłam, w sercu pozostała krwawa rana — a pani, pani Małgorzato, pani mi może córkę za-stąpić — niech pani u mnie z dzieckiem zostanie, niech pani będzie jasnością ostatków dni moich!

Łkając, rzuciła się Małgorzata Wilding do nóg starowiny i ucałowała jej piękną jeszcze zawsze rękę. Tak do niej od dawna nikt nie mówił. Od czasu ostatniej rozmowy ze swoim ojcem nie sły-szała nigdy od nikogo dobrego słowa i to ją bo-łało.

— Jakże mam pani podziękować za tyle miło-ści, pani Stürmer! — mówiła, płacząc, a łzy jej ciurkiem spadały na dłoń starowiny, która jak matka prawdziwa gładziła dłonią jej czarne, mięk-kie włosy, potem łagodnie ją podniosła ze ziemi i złożyła na bładem jej czole macierzyński poca-lunek.

— Wszystko będzie dobrze — rzekła do niej — zostanie pani u mnie, a Fredziu także — nie praw-da, kociaku? — i pochyliła się ku malcowi, który jej się odrazu rzucił na szyję.

— O tak, moja ciociu, będę zawsze bardzo grzeczny — zawołał, a buziaki jego zarumieniły się z radości.

— W małżeństwie ciągnęła dalej pani Stür-mer — nie zawsze można znaleźć szczęście. Praw-dopodobnie podoba się pani u nas, pani Małgo-rzato; gdyby jednak pan Bóg powołał kiedy do siebie opiekunkę pani, to, niech mi pani wierzy, nie pozostanie pani i tak bez opieki, bo o tych, których kocham, nie zapomnę nawet po śmierci.

Kiedy wieczór Małgorzata Wilding złożyła ręce do modlitwy, dziękowała z całego serca Panu nad Pany, że dał jej tak bezpieczne schronienie i wplo-tła w swoją modlitwę jeszcze jedno nazwisko — nazwisko pani Stürmer, dla której o wszystko do-bre prosiła.

Noc była ciemna, na niebie nie było ani jednej gwiazdki, więc pani Stürmer mogła spokojnie udać się na spoczynek. Pochyliła się raz jeszcze nad śpiącą Małgorzatą, a widząc jej bladą twarzyczkę, na której przebyte cierpienia wypisały już ślad bruzd, szepnęła, głaszcząc ją czule po czarnych włosach:

— Biedne, biedne dziecko!

Błogi błysk przebiegł po obliczu śpiącej, a z ust jej wyrwały się słowa:

— Boże, jakże ja ci dziękuję za to, że tu znalazła przytułek u pani Stürmer!

Na palcach odsunęła się matka doktora od łóżka śpiącej, a łzy zabłyśły w jej oczach. Zaraz po-tem i sama udała się na spoczynek, a po chwili regularny jej oddech świadczył, że śpi już spo-kojnie.

Upłynęła może godzina, a na polu nieco się rozjaśniło. Tu i ówdzie wykwitła na niebiosach gwiazda, a z poza ciemnej opony chmur wycho-dził powoli księżyc. Srebrna jego tarcza wznosiła się coraz wyżej, zlewając srebrną poświatl na snem otuloną ziemię. Promienie jej wdarły się i do sypialni Stürmerów i jak psotne bożki snu wiły się po twarzach obydwóch kobiet.

Panią Stürmer, która dla czuwania nad Mał-gorzatą, spała z nią w jednym pokoju, podrażniło zielonawe światło, ale nie obudziła się; poruszyła się tylko i odwróciła twarzą do ściany. Nie zau-ważyła więc, że Małgorzata z wolna się podniosła na łóżku i otwartemi szeroko oczyma, jakby pełnemi zachwyty, wpatrzyła się w błyszczącą, okrągłą tarczę księżycy.

Bez szelestu zeszła z łóżka i zwróciła się do okna, mając wzrok ciągle utkwiony w księżycu.

— Idę! — rzekła cicho, a głos jej brzmiał jakoś dziwnie — potem otworzyła drzwi od bal-konu i szła, jakby mechanicznie, na werandę. Wsparła się na żelaznem obramowaniu balkonu i nieprzerwanie patrzyła w księżyc. Później prze-